352
I268.478

ZAJMUJĄCE CZYTANKI

T. № 7744.
562
20.5

M. STREBEJKO

DZIESIĘCIOLETNI OCHOTNIK

OPOWIADANIE Z CZASÓW
POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Geprüft und freigegeben
PRESSEVERWALTUNG WARSCHAU
den ... ten ... 191
Zensor.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
1917

BIBLIOTEKA NARODOWA

I 268.478

W roku 1863 wieś Dzierzązna, leżąca na trakcie, idącym ze Zgierza do Łęczycy, należała do pana Ch., byłego majora wojsk polskich. Stosunek dworu do wsi był tam ojcowski. Jeden obszerny pokój w starym modrzewiowym dworze przeznaczony był na szkołę dla wiejskiej dziatwy, której liczna rzesza codziennie od rana do południa bardzo porządnie uczoną była przez trzy młodziutkie córki pana Ch. Uczono dzieci czytać, pisać, rachunków, pacierza i katechizmu, oraz pierwszych wiadomości z geografji i dziejów ojczystych. W nagrodę pilności w niedzielę, po południu dziatwa przychodziła bawić się w gry różne z dwojgiem najmłodszych dzieci pana Ch., gdy była pogoda, w pięknym dworskim ogrodzie, a w czasie niepogody w szkolnym pokoju. Ci, którzy nauczyli się już płynnie czytać, dostawali „Kmiotka" lub „Czytelnię niedzielną", aby wróciwszy do domu, mogli te pisma rodzicom przeczytać. Co rok był egzamin; nagrody pierwszego stopnia stanowiły książki do nabożeństwa, drugiego stopnia: dla dziewcząt ładne chusteczki na głowę, dla chłopców książki z obrazkami. Wobec takich stosunków między dworem a wsią, ukochaniem dziewcząt była mała panienka, Maniusia, a ukochaniem chłopców był dziesięcioletni Leonek. Bo też co tylko dzieci dostały z łakoci: pierniki, owoce lub karmelki to zawsze dzie-

ły je z tymi towarzyszami zabawy.—Co niedziela były imieniny lub wesele której lalki małej panienki, więc trzeba było balik wyprawić. W porze letniej rwało się porzeczki, agrest, maliny lub wiśnie, później już orzechy i jeżyny, gdyż punktem honoru było, aby takie przyjęcie dostarczyć własnym przemysłem z małym dodatkiem śpiżarnianym. Potem były gruszki i jabłka główną podstawą owych balików, następnie ogórki kwaszone z pieczenią zostawioną z obiadu. W zimie zaś, gdy śnieg upadł, lody ze śniegu oblane sokiem wiśniowym i przystrojone landrynkami. A jak to wszystko smakowało! Jak znikało wśród rozbawionej dziatwy.

* * *

W owym to roku 1863 najstarszy syn pana majora, ożeniony przed dwoma laty, miał trudny urząd, powierzony sobie przez rząd Narodowy. Musiał zbierać w swoim okręgu chleb, owies, buty i bieliznę i dostawiać to wszystko do partyi tej lub owej, obozującej w sąsiednim, rządowym lesie szczawińskim. Jednej nocy zwoziło się owe rzeczy do Dzierząźny, a drugiej nocy dostawiano je do lasu. Musieli wiernie czuwać chłopi—przyjaciele nad młodym panem, że przez rok cały mógł dostarczać tych dostaw partyzantom.

Bo jak wam zapewne wiadomo, młodzi czytelnicy, walczył naród Polski ze swym wrogiem, który ziemię naszą w ciężkiej trzymał niewoli i gnębił naszych ojców i dziadów. Najodważniejsi ludzie, najbardziej Ojczyznę swą kochający chwycili za broń i wystąpili zbrojnie przeciw swoim wrogom i to się nazywało powstanie. Ponieważ Polska w owym czasie nie miała swoich wojsk, a nieprzyjaciele mieli ich tyle, że mogli złatwością cały kraj zalać mnóstwem większych oddziałów wojska, przeto powstańcy musieli się zbierać ukradkiem, przeważnie po lasach i dopie-

ro, gdy zebrała się ich większa partja, występowali otwarcie przeciw wrogowi, by za chwilę znów się ukryć i zbierać nowe siły. Taka walka nazywała się partyzantką, żołnierze zaś — partyzantami.

W takiej to chwili rósł i rozwijał się najmłodszy syn pana majora, Leonek, bohater tej powiastki. Choć dzieciom nis mówiono o tem, co powyżej napisałam, ale służba, a szczególniej stróż, Łukasz, dawny towarzysz broni pana majora i stangret Wawrzon, sierota wychowany we dworze, wiedzieli o wszystkiem.

Leonek nadzwyczaj lubił konie, często zaglądał do stajni, jeździł na koniu bez siodła pod okiem Wawrzona i jakoś tam dowiedział się, że partja powstańców obozuje w szczawińskim lesie, odległym od Dzierzązny o pół mili. Widywał on nieraz partyzantów, bo przechodzili przez Dzierzązną, i choć mizernie oni jako wojsko wyglądali, ale strzelba, trójkolorowa kokarda i mina ich gęsta podobały się chłopcu. Oczy mu błyszczały, gdy słuchał opowiadań o potyczkach i w ciechości ducha postanowił też iść eo partyi. Dowiedziawszy się, że powstańcy są w szczawińskim lesie, poprosił pewnego sierpniowego popołudnia wcześniej o podwieczorek, gdyż, jak mówił, daleko dziś idzie w pole, wziął kilka jabłek papierówek do kieszeni, pałasik, który dostał od ojca na gwiazdkę, składany, ostry nóż, pożyczony od ogrodnika, i włożywszy na głowę ulubioną czerwoną krakuskę z pawiem piórkiem, powędrował do lasu.

Między Dzierzązną a lasem szczawińskim leży wieś Biała, Leonek żwawym krokiem przeszedł tę wieś, za którą w oddali czerniał cel jego wędrówki, las szczawiński. Słońce dopiekało, nasz młody ochotnik ocierał od czasu do czasu spocone czoło, lecz szedł żwawo naprzód. Dotarłszy do celu wędrówki, stanął na skraju lasu i zaczął

nasłuchiwać uważnie. Cisza panowała dokoła, las tylko szumiał poważnie.

Nagle Leonek usłyszał głuchy tętent koni zbliżający się z lewej strony drogi, idącej skrajem lasu. Przycupnął za najbliższą sosną i wytężył wzrok w kierunku odgłosów kopyt końskich. Może o jakieś pięćset kroków wyłonił się z zakrętu drogi niewielki oddział żołnierzy, jadących kłósem w stronę ukrytego Leonka i rozmawiających widać, lecz nie można było rozróżnić jeszcze dźwięków mowy. Leonkowi serduszko zabiło gwałtownie, lecz nagle prawie zamarło. Był pewny, że to powstańcy, a to kozacy plądrujący widać okoliczne wsie i lasy, o których tyle okrutnych nasłuchał się opowiadań.

Co tu robić — jeszcze chwila, a spostrzegą go i zabiją może, ma szabelkę i nóż, pewno go wezmą za partyzanta. Jak błyskawica przyszła mu zbawienna myśl — jałowiec. Istotnie, rozłożysty jałowiec był gęstym pokryciem lasu, a krzew najbliższy mógł schronić ze trzech ludzi. Jednym susem był Leonek w jałowcu i nie bacząc na bolesne ukłócia skrył się w rozłożystym krzewie niczem grzyb—borowik,

Tymczasem kozacy nadjechali bliżej, lecz na szczęście chłopca nie zauważyli. Można już było dosłyszeć żywą rozmowę, którą prowadzili tak głośno jakby się sprzeczali.

Nasz wędrownik ukryty wytężał słuch, żeby coś usłyszeć, ale zrozumieć mógł niewiele, bo choć nieraz Wawrzon przedrzeźniając znienawidzonych kozaków mówił ich językiem, ale zawsze obca to mowa. Jednakże gdy Leonek się wsłuchał, zauważył, że sprzeczają się ciągle, czy jechać w las na poszukiwanie partji Parczewskiego, czy dalej drogą do wsi. Wreszcie gdy przejechali już przed jałowcem Leonka, ten co jechał na przedzie rzekł:

— Pluć nam na wszystko, za nami idzie na bitwę pułkownik Bremsen, on im pokaże—a nam drugiej głowy Bóg nie da.

I więcej ani słowa, pojechali do wsi.

Na to czekał Leonek. Ale jeszcze długą chwilę namyślał się co robić.

— Powstańcy w lesie są napewno, trzeba iść i ostrzec!—mówił mu jakiś głos w duszy. Zerwał się, lecz uczuł ból szalony, to kłuły igły jałowca, był cały najeżony igłami. Otrząsnął się, jak psiak gdy z wody się wydostanie, lecz nim ruszył w drogę zaniepokoił się, że już może partja przeniosła się w inne strony. Wszedł do lasu i zaczął iść pośpiesznie, rozglądając się na wszystkie strony. Szedł tak z pół godziny i obawa zawodu zaczęła miotać jego serduszkiem, gdy nagle cicho jak duch jaki leśny wysunął się z za drzewa partyzant z karabinem w ręku i surowo zapytał:

— Skąd i po co tu idziesz?

Leonek domyślił się, że to pikieta i z radością odrzekł:

— Jestem synem majora Ch. z Dzierzązny, mam ważny interes do dowódcy partji!

Partyzant zdziwionym wzrokiem obrzucił chłopca, bo młody wiek Leonka zadziwił go, lecz usłyszawszy skąd przychodzi, pomyślał, że pewnie major ważne jakieś ostrzeżenie przesyła ustnie dowódcy oddziału, bo znał nazwę wsi, gdyż najstarszy brat Leonka dwa razy tygodniowo nocą dowoził żywność dla oddziału. Zaprowadził go zatym w głąb lasu, do obozu i zdał o nim raport dowódcy.

Leonek drżąc ze wzruszenia, zdjął czapeczkę i powiedział kim jest, po co wyszedł z domu i kogo na skraju lasu spotkał oraz powtórzył, jak umiał, rozmowę kozaków.

Dowódca popatrzył serdecznie na młodego ochotnika i rzekł do niego:

— Zuch z ciebie, chłopcze, wielki, oddałeś partji mojej i Ojczyźnie wielką usługę, widać, że

z rycerskiej pochodzisz rodziny, ale zamłody jesteś, aby znieść trudy życia obozowego, wróć do ojca, rośnij na jego pociechę, a za lat kilka, gdy nas już nie stanie, ty i tobie podobni podejmiecie walkę za Ojczyznę, którą my zaczęliśmy!

Leonek na te słowa mocno się zarumienił, łzy mu stanęły w oczach, złożył ręce błagalnie i rzekł:

— Ja jestem bardzo silny i zahartowany, podołam mustrze, niech mi pan pułkownik pozwoli zostać kilka dni na próbę, jak się nie przydam, to wrócę do ojca!

Dowódca, widząc ten szczery zapał chłopca, pozwolił mu zostać, lecz uprzedził, że partja, dzięki jego ostrzeżeniu, musi natychmiast ruszyć w drogę by połączyć się z inną i razem przyjąć od Bremsena bitwę.

Dobrze już było po zachodzie i w lesie mrok gęsty zapadał. Pułkownik zabronił palić ogni i wydał rozkaz wymarszu przed świtem. Wezwał też jednego z powstańców i kazał mu zanieść do ojca Leonka wiadomość, że synek idzie z partją jako dobrowolny ochotnik.

Oddział Parczewskiego nieźle był wyćwiczony i zaopatrzony w broń i amunicję, ale był nieliczny, więc Parczewski postanowił pomaszerować ku zachodowi, by złączyć się z Oborskim i wtedy mogliby stawić czoło groźnemu Bremsenowi, który był postrachem całej ziemi Piotrkowskiej i naprawdę szedł z Łodzi ze znacznym oddziałem wojska.

Przed samym świtem, posiliwszy się na drogę, zwinięto obóz, dowódca i oficerowie przejrzeli mapy i naradzali się jaką udać się drogą, aby jaknajprędzej dotrzeć do Oborskiego, który znajdował się wtedy ze swym oddziałem na pograniczu gubernji Piotrkowskiej i Kaliskiej.

Leonek kontent, że o nim zapomniano, uwijał się ochoczo, rad w duszy, że przecież i on weźmie udział w bitwie.

Nad wieczorem wymaszerowano na zachód, kierując się w stronę Poddębic i Uniejowa. Partja była wypoczęta, więc maszerowano raźnie przez noc całą. Gdy się rozwidniło, nakazano odpoczynek na leśnej polanie. Rozstawiono pikiety, zapalono ognie, aby zgotować śniadanie. Ci, którzy jechali na furgonach, zajęli się gotowaniem śniadania, a szeregowcy, zmęczeni marszem, rzucili się na miękki mech i zasnęli kamiennym snem.

Nasz bohater po raz pierwszy od wyjścia z domu uczuł się nadzwyczaj zmęczonym; nogi miał obtarte do krwi z powodu długiego marszu, opadł więc zupełnie na siłach. Dowódca, obchodząc obóz dokoła, zobaczył chłopczynę leżącego pod drzewem, któremu bolące nogi usnąć nie pozwoliły. Żal mu się zrobiło Leonka, wziął jego chustkę, przedarł na dwoje, zmoczył wodą i kazał nią obwinąć krwawiące nogi, a następnie rozkazał podoficerowi, aby Leonka na dalszą drogę umieszczono na furgonie z żywnością, dopóki nie wygoja mu się nogi.

Pół dnia odpoczywano, a po południu wysławszy naprzód kurjerów po żywność, aby nazajutrz było czem oddział nakarmić, ruszył Parczewski w dalszą drogę. Wyznaczono kurjerom punkt zborny między Poddębicami a Uniejowem, kazano zasięgnąć języka co do partji Oborskiego, oraz ruchów nieprzyjacielskich i pomaszerowano w stronę Uniejowa. Nad wieczorem w dogodnem miejscu zatrzymano się na odpoczynek i wieczerzę. Znów rozstawiono pikiety i nastawiono kotły, rozdano resztę chleba, spodziewając się, że nazajutrz kurjerzy przywiozą żywność. Posilono się wieczerzą, ten i ów zanucił sobie piosenkę: „Taki los wypadł nam, że dziś tu, jutro tam". Albo: „Bywaj dziewczę zdrowa, Ojczyzna mnie woła, pójdę za kraj walczyć wśród rodaków koła", odpoczywano. Leonek czuł się prawie dobrze i obiecywał sobie, że nazajutrz będzie znów

maszerował, jak drudzy, bo nogi okładane mokrą chustką, znacznie wydobrzały. O zmierzchu pomaszerowano dalej w stronę Warty. Kurjerzy mieli rozkaz stawić się nazajutrz o świcie w pewnym oznaczonym miejscu.

Po całonocnym marszu oddział doszedł do owego miejsca i równocześnie prawie nadjechali kurjerzy z żywnością. Przywieźli wiadomości, że Oborski jest niedaleko, że koloniści Niemcy dają znać Bremzenowi o ruchach oddziałów powstańczych i że jutro lub pojutrze bitwa będzie na pewno. Zmęczeni i głodni powstańcy niecierpliwie czekali nu śniadanie. Żwawo rozpalono ognie, wypoczęty Leonek uwijał się ochoczo, znosząc naręcza suchych gałęzi. Wkrótce śniadanie było gotowe. Posilono się dostatecznie, rozdano porcje chleba, cztery godziny dano ludziom na odpoczynek. Następnie Parczewski przemówił do wiary, żeby uważnie i sprawnie odbyła musztrę, bo jutro pewnie będą już walczyć z wrogiem. Usłuchano kochanego dowódcy, z wielką dokładnością odbyto ćwiczenia, następnie zwinięto obóz i po południu pomaszerowano w stronę Uniejowa, gdyż z tamtej strony miał nadejść Oborski. Nad wieczorem zatrzymano się na odpoczynek, Parczewski wysłał wywiad na spotkanie Oborskiego i aby zasięgnąć języka, jak daleko jest Bremzen.

Nocą przeszedł oddział Wartę pod Uniejowem, wywiad powrócił, donosząc, że Oborskiego dotąd nie widziano, ale za to Bremzen jest tylko o dzień drogi od Uniejowa.

O świcie zatrzymano się na odpoczynek, posłano po żywność do pobliskiej wsi Dobrej, której mieszkańcy donieśli, że Bremzen z dużą siłą ciągnie traktem uniejowskim, szukając powstańców. Bitwa była nieunikniona; gdy odpoczęto i posilono się, dowódca odbył musztrę, przemówił serdecznie do swych podwładnych, rozdał haboje, kazał dobrze broń opatrzyć, dać każdemu szeregowcowi porcję chleba i słoniny do tor-

by i znów wysłał wywiad. Niedługo powrócił ten wywiad, donosząc, że zobaczyli przez lunetę uwijających się po polach kozaków, wysłanych, jako przednia straż, przez Bremzena, aby wytropić buntowników.

Pozycja między lasem i wsią Dobrą była dosyć dogodna, więc Parczewski, spodziewając się, że Oborski musi nadejść, postanowił czekać tutaj na groźnego Bremzena. Wydał odpowiednie rozkazy, nieliczny swój oddział rozstawił na skraju lasu w ten sposób, żeby nieprzyjaciel nie widział szczupłej liczebnie siły powstańców i w ciszy czekał ukazania się wroga. Leonkowi silnie biło serce na myśl, że i on przyjmię udział w bitwie, nie czuł żadnej obawy, tylko gorące pragnienie, aby nasi zwyciężyli. Myszkujący po polu kozacy napotkali żydka, który szedł do wsi z drobnym towarem na plecach. Zatrzymali go i spytali, gdzie są powstańcy. Wylękły żydek wskazał ręką pobliski las. Kozacy pogalopowali ku lasowi, a że ich było kilkunastu zaledwie, więc gdy się przybliżyli na odległość strzału, padła komenda z polskiej strony: „Bierz na cel, pal!"

Parczewski pomyślał, że jak ten wywiad nie da znać Bremzenowi, gdzie mianowicie są powstańcy, to opóźni jego napad, a tymczasem może Oborski nadciągnie. Istotnie pod celnymi strzałami powstańców padli kozacy, dwuch tylko gwałtownie zawróciło w tył, a że mieli nadzwyczaj rącze konie, pomknęli, jak wicher, z powrotem i wysłani za nimi polscy kawalerzyści dogonić ich nie mogli.

Wobec tego złożono krótką naradę wojenną, czy czekać na Bremzena, czy cofnąć się w głąb lasów i szukać Oborskiego. Wtym wywiad wysłany w stronę oczekiwanego Oborskiego wrócił, donosząc, że Oborki nadchodzi. Dodała ta wieść ducha partyzantom, bo choć pragnęli walczyć za ojczyznę, ale widząc szczupłą garstkę towarzyszów broni, wiedzieli, że zgnieceni będą przez

wiele razy liczniejszego wroga, tymczasem w połączeniu z dosyć licznym oddziałem Oborskiego spodziewali się zwycięstwa.

Teraz Parczewski czekał z jednej strony Bremzena, z drugiej Oborskiego. Na szczęście ten ostatni nadciągnął pierwej, więc jego ludzie zmęczeni marszem mogli trochę odpocząć. Oborski ukrył się w lesie, a gdy Bremzen nadejdzie, miał Parczewski rozpocząć bitwę, Oborski zaś, odpocząwszy, sprawić swój oddział i wypaść na moskali.

Tak się też stało; Bremzen nadciągnął z dużą siłą, lecz Polacy celnie strzelając, znaczne wyrządzili mu straty, ale moskali było dwa razy więcej niż obie partje razem wzięte. Gdy Bremzen kazał ustawić armaty, które nieustannie prażyły partyzantów, szerząc śmierć wśród ich szeregów, ziemią jęczała od tych pocisków, jakby bolała nad śmiercią swych synów; napróżno konnica kilkakrotnie szarżowała, padając gęsto od kul armatnich, po kilkogodzinnej zaciętej bitwie, pomimo męstwa i odwagi powstańców, moskale zwyciężyli, a nasi, korzystając z mroku, uszli w lasy okoliczne. A co się stało w tym krwawym dniu z Leonkiem? Gdy z rozkazem dowódcy przebiegał z lewego skrzydła na prawe, silnie kontuzjowany kulą upadł zemdlony na ziemię pod drzewem i to go ocaliło od roztratowania. Moskale, otrzymawszy plac boju, pozbierali swoich rannych, poobdzierali poległych i cofnęli się na odpoczynek do wsi sąsiedniej. Nazajutrz rano Bremzen, jako zwycięzca, wracał do Łodzi.

Na wieść o rozbiciu partji mieszkańcy Dobrej i obywatele okolicznych wsi pospieszyli na pobojowisko zbierać rannych i chować poległych. Leonkowi chłód nocny wrócił przytomność, lecz kontuzjowana głowa mocno go bolała, nie mógł się ruszyć, więc leżał, jęcząc cicho. Straszno mu było, bo widział dużo poległych i słyszał bolesne jęki rannych, ale sam był tylko na pół przy-

tomny, więc zobojętniał na wszystko. Ci, co zbierali rannych znaleźli Leonka, zdziwili się, co taki chłopczyna mógł robić w partji. Przeniesiono go do powozu jednej z okolicznych obywatelek, dano mu wody z winem do napicia, na chorą głowę położono zimny okład. Leonek, przyszedłszy do siebie, zapytany, co robił w partji, powiedział, że chciał walczyć za ojczyznę, lecz wczorajsza bitwa przekonała go, iż nie ma na to dosyć sił, powiedział kim jest i prosił, by go odwieziono do ojca.

Bojowników poległych za ojczyznę po uroczystem nabożeństwie na cmentarzu w Dobrej, rannych leczono po dworach, a Leonka, którego ojca znano w całym Łęczyckiem, odwieziono do Dzierzązny.

Pan major, dowiedziawszy się, że partja Parczewskiego opuściła las szczawiński, wyrzucał sobie gorzko, iż syna przed jej wymarszem nie sprowadził do domu, bo myślał, że gdy wymaszerował z oddziałem to nigdy go już w życiu nie zobaczy. Witał go też, jakby wracającego z tamtego świata, dziękując serdecznie tym, co się zaopiekowali małym ochotnikiem.

Gdy zostali sami, major zrobił synowi wymówkę, dlaczego potajemnie udał się do partji, Leonek trochę zmieszany odpowiedział szczerze:

— Żebym ojca był prosił o pozwolenie, to pewnie ojciec nie pozwoliłby mi iść do partji.

— Rozumie się dzieciaku,—rzekł major wzruszony—wszak cudem tylko ocalałeś!

— A ojciec w 1812-ym roku miał tylko o dwa lata więcej odemnie, a poszedł na wojnę i nie zginął!

— Inne były czasy i okoliczności, mój synu, a ze ztą dwa lata w twoim wieku to wielka różnica, a co ja się też biedy nacierpiałem w tej wojaczce!

— Wszak ojciec zawsze mówi, że dla ojczyzny wszystko znieść trzeba i wszystko jej poświęcić! — zawołał Leonek z zapałem.

BIBLIOTEKA

— Prawda, mój synu, lecz podrośnij jeszcze, bo dziś za młody jesteś na bojownika za ojczyznę.

Po powrocie do domu Leonek bardzo spoważniał, widok krwawej bitwy pod Dobrą niezatarte wrażenie wywarł na nim. Zrozumiał, że siły jego chłopięce nie dorównywały zamiarom, trzeba było wyrosnąć na młodzieńca by módz walczyć za kraj uciśniony.

Jednak pan major, bojąc się, aby chłopiec znów nie powędrował do partji, pojechał nazajutrz do pobliskiego Zgierza, aby wyszukać odpowiednią stancję dla umieszczenia tam Leonka, którego zapisał do klasy pierwszej w szkole przygotowawczej pana Grafa. W tydzień potem Leonek żegnany serdecznie przez siostry, służbę i towarzyszy zabawy odwieziony został przez ojca do miasta na naukę.

Bohater nasz kochał ojca serdecznie i tęsknił bardzo za ulubioną Dzierząźną, jednak żegnając się z ojcem, nie płakał, bo łzy uważał za słabość niegodną mężczyzny; obiecał ojcu, że będzie się dobrze uczył i dotrzymał słowa, bo był celującym uczniem. Ojciec co tydzień odwiedzał syna, gdyż Zgierz jest najbliższem miastem Dzierząźny i wszelkie sprawunkj domowe załatwiano co tydzień w tym mieście. Leonek od ojca i od stangreta wiedział o wszystkiem, co zaszło przez ubiegły tydzień w domu i powoli wciągnął się do życia szkolnego. Na Wszystkich Świętych z dobrą cenzurą w kieszeni przyjechał nasz ochotnik na cztery dni wakacji do domu. Siostry, służba, towarzysze zabawy, nawet psy radośnie witały Leonka.—Opowiadał o szkole, kolegach, nauczycielach i przeczytanych książkach, bo Leonek obok rycerskiego animuszu lubił niezmiernie czytać, szczególniej podróże i historyczne książki.

Minął rok 1863-ci, cały kraj okrył się żałobą, Leonek ze szkoły przygotowawczej w Zgierzu przeszedł do progimnazjum rządowego w Łęczy-

cy. Uczył się bardzo dobrze, szczególniej celował w wypracowaniach stylistycznych, profesorowie winszowali panu Ch. tak zdolnego syna. Gdy skończył chlubnie Łęczyckie progimnazjum, przeszedł następnie do gimnazjum w Piotrkowie, gdzie również dobrym był uczniem, lecz nim ukończył tę szkołę, dotknął go cios wielki, bo zacny, dobry ojciec jego umarł po krótkiej chorobie. Matkę Leonek utracił, gdy był jeszcze dzieckiem, więc ze śmiercią ojca szesnastoletni nasz bohater został sierotą.

Mimo to Leonek, dzięki wrodzonej energji, szedł dalej odważnie przez życie, niezapominając nigdy co był powinien swej Ojczyźnie nieszczęśliwej, swym uciemiężonym rodakom. Na każdym stanowisku pracował gorliwie dla dobra kraju, dając innym przykład pracą i ofiarnością.

Tak przez całe swe życie niezmiernie czynne był zawsze gorącym patryjotą, pracowitym synem ojczyzny, za którą walczyć szedł jako dziesięcioletni ochotnik.

Do samej śmierci pozostał wierny swym ideałom z lat dziecinnych.

BIBLIOTEKA ARCHIWALNA

D. 1764/369 - 37

B. S.

268478